

ramota

Gazeta Zespołu Szkół Plastycznych
im. C. K. Norwida w Lublinie

Ramota nr 46

marzec 2019



Artemisia Gentileschi, „Judyta i Holofernes”



„NIC WIĘCEJ MI
NIE TRZEBA...”

Z Anną Świerbutowicz – Kawalec o szczęściu, artystach, kobietach i najnowszej wystawie rozmawia Ewa Wrona

Ramota nr 46

Ewa Wrona: Ronald Reagan twierdził, że każde spotkanie należy rozpocząć od dowcipu. No to opowiem Ci, co niedawno wyczytałam w 23. numerze „Nowin” (dla niewtajemniczonych – to tytuł gazety z lat 80.). Mały chłopczyk pyta ojca, kto to jest inteligent. „Syneczku... Inteligent to jest taki pan, który czyta książki, chociaż ma w domu radio i telewizor”. Dziś oczywiście miałby on także komputer, Internet i smartfon, ale pewnie nadal czytałby książki. Zamieńmy w tym żarcie słowo „inteligent” na „artysta”.

Anna Świerbutowicz-Kawalec: Przydałoby się odpowiedzieć jakimś dowcipem... ale w głowie pustka w tym temacie. Więc odpowiem krótko i serio. Nie wiem, kto to jest artysta, nie umiem podać definicji. Wolę słowo twórca, jest bardziej konkretne, rozumiem je jako określenie autora dzieła, pomysłu, idei. Osobę która coś kreuje, stwarza z niczego, od nowa, od początku, z wewnętrznej potrzeby.

E.W. Czyli artysta to człowiek, który (tak jak nasz inteligent z żartu) chce czegoś więcej? Nie musiałby w zasadzie się męczyć, ostatecznie można obcować z pięknem stworzonym przez innych, ale on, artysta właśnie MUSI. Anuś jak na Twoje „musi” wpływało środowisko? W plastyku pracujesz od 2006 roku, ale jesteś z tym miejscem związana od początku życia?

A.K. Tak, do plastyka przychodziłam już w pie-luchach. W tej szkole pracowali moi rodzice, tata

uczył malarstwa, mama rzeźby. Wszystko było takie cudowne. Szkoła to była kraina kolorów, zapachów farby olejnej i ciętego drewna, a schody na auli miały ze dwa metry. W tej szkole co roku pojawiał się św. Mikołaj, a na co dzień było w niej mnóstwo fajnych wujków i cioć. Ja po prostu kochałam to miejsce. Sama rozumiesz, że od początku nie miałam wątpliwości, kim chcę być i gdzie chcę pracować.

E.W. Od lat współpracujesz z wieloma ośrodkami kultury, wspomnę tu tylko o DDK Węglin, UMCS Chatka Żaka, Filharmonii Lubelskiej, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego, Warsztatach Kultury czy Biblio. Stale tworzysz i stale uczysz się malarstwa, o czym otwarcie mówisz np. w rozmowie z Jerzym Jackiem Bojarskim w „Niecodzienniku Bibliotecznym”. Zdobywasz nagrody na ogólnopolskich konkursach („Zadra” w 2011), organizujesz wystawy indywidualne w lubelskich i warszawskich galeriach sztuki (Warszawa w kwietniu 2012r.), uczestniczysz w plenerach malarskich i graficznych – w zasadzie co roku, a w 2018 aż w trzech (Zwierzyniec, Świdwin, Przewięż). To jest aktywność godna podziwu, ale też zastanawiająca. Czy w tych wszystkich aktywnościach chodzi o doskonalenie? O kontakty? A może to jest tak, że z każdego zdobytego szczytu widać już trzy kolejne?

A.K. Nie wiem, o co tak naprawdę chodzi. Po prostu tak jest, tak się zdarza, to wszystko przy-

marzec 2019

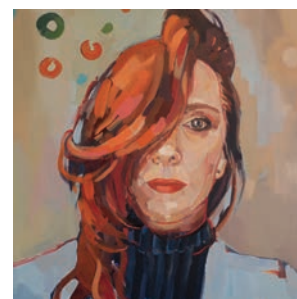
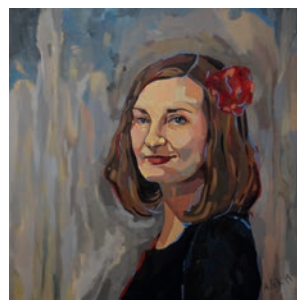
chodzi do mnie, a ja tego nie odrzucam. Podejmując wyżej wymienione działania, często nie myślę specjalnie długo, nie liczę zysków i strat. Jestem ciekawa świata i ludzi, może Świat czując to, tak właśnie odpowiada na moje wewnętrzne potrzeby? Wiesz... czasami myślę, że już można by sobie odpuścić tę ganiankę, założyć ciepłe kapcie i po prostu nic nie robić przez tydzień, wtedy okazuje się np. że jest bieg na 15 km w deszczu i błocie, koleżanka biegnie i namawia... sama rozumiesz, że w takim wypadku nie mam wyboru... kapcie stygną w pokoju, a ja biegnę...

E.W. Biegniesz i wygrywasz! Ale w tw. międzyczasie stale tworzysz. Najnowszą wystawę poświęciłaś kobietom, które określasz „bohaterkami dnia „codziennego”.

A.K. Na wystawie „Kobiety” prezentuję portrety bliskich mi koleżanek, które są moją inspiracją. Moje bohaterki, mimo skomplikowanych okoliczności życiowych, nie poddają się, nieustannie podejmując próby sprostania wymogom czasów. Godzą niejednokrotnie wiele ról matki, córki, szefowej, żony itd... Obserwując postawy koleżanek, jestem zafascynowana determinacją i pomysłowością, jaką prezentują w życiu codziennym. Dlatego chciałam je w jakiś sposób wyróżnić, poświęcić im czas i uwagę. Podczas malowania portretów w sposób naturalny myślałam o moich bohaterkach, spędzałam „z nimi” nieraz kilkanaście godzin dziennie, można w tym czasie bardzo dużo przemyśleć i wiele zobaczyć. Starłam się uchwycić charakter każdej z malowanych kobiet, spojrzeć im głęboko w oczy i pokazać na obrazach to, co tam zobaczyłam. Trochę symbolicznie, podkreślając kolorem, trochę poprzez nadane im atrybuty i gesty. Kobiety, których portrety namalowałam, są mi bardzo bliskie, mimo różnego stopnia znajomości, z każdą wyczuwam silną więź, z której czerpię siłę. Mam nadzieję, że moje obrazki zachęcą oglądających do refleksji i rozmowy.

E.W. Na koniec nie będzie żartu, ale będzie o szczęściu. Jak najpoważniej. Kiedy dwa lata temu udało mi się przejechać rowerem całą Portugalię i dotrzeć do Santiago de Compostela w Hiszpanii, przeddefiniowałam swoją definicję szczęścia. Od tej pory już wiem, że szczęście jest wtedy, gdy człowiek jedzie rowerem i się nie przewraca. A czym jest szczęście dla Anny Świerbutowicz-Kawalec? Pięknej kobiety, kochanej i kochającej żony i mamy, uwielbianej przez uczniów nauczycielki, duszy towarzystwa w pokoju nauczycielskim, wrażliwej, zdolnej i pracowitej artystki?

A.K. Szczęście to stan umysłu. Nie zależy od zgromadzonego majątku ani zdobytych medali.



Można cieszyć się deszczem, spacerem z psem czy herbatą, którą zrobi Ci niespodziewanie kochany kolega z pracy podczas długiej przerwy. Wystarczy być uważnym, a szczęście przychodzi samo... Tak myślę i czuję teraz, jednak nie zawsze tak było. Kiedyś jako młoda dziewczyna miałam w temacie szczęścia postawę mocno roszczeniową. Oczekiwałam, że KTOŚ mi da szczęście, albo, że będę szczęśliwa jak osiągnę cel, jeden drugi, trzeci. I to wszystko się działo, a ja nadal byłam nieszczęśliwa, jakaś taka pusta, samotna w tłumie. I czułam się źle, bardzo źle. I nie pamiętam kiedy, ale wydaje mi się, że był to dość powolny proces, zaczynałam rozumieć że nic, ani nikt nie jest w stanie zapełnić we mnie pustki, jeśli sama się tym nie zajmę. Zapytałam siebie po raz pierwszy świadomie i szczerze: czego ty chcesz Anula? O co Ci w ogóle chodzi? I usłyszałam jasno i wyraźnie czego chcę. Zaczęłam malować, poszłam na studia artystyczne, pracowałam dużo i z chęcią. To był

początek mojej drogi ku szczęściu. Potem dostałam jeszcze mnóstwo lekcji i prztyczków w nos, zanim ostatecznie zrozumiałam, gdzie to szczęście się zaczyna. Ostatnią lekcję odbyłam dość niedawno, kiedy po operacji stawiałam pierwszy samodzielny krok, albo kiedy zjadłam kęs chleba po dwóch tygodniach bez jedzenia. To było suuuuuuper szczęście. W świecie który stale mówi nam, jak wiele możemy mieć, jak wiele ktoś nam może dać, łatwo zapomnieć, ile już mamy. Czasem jak coś idzie źle i sytuacja wydaje się być bez nadziejna, warto się zatrzymać i powiedzieć do siebie na głos „Mam dwie ręce, mam dwie nogi, mam gdzie spać, jadłam dziś. Jest extra!” I to wystarczy. Mi to pomaga. W opcji dla opornych można dodać jeszcze tabliczkę czekolady (gorzkiej, bo ponoć jest zdrowsza. Śmiało mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwym człowiekiem. Mam plany, marzenia, dach nad głową, kochających ludzi dookoła. Nic więcej mi nie trzeba. •

DRZEWOZACHWYTY

(z pozdrowieniami dla Snycerzy)

LUDZIE OD WIEKÓW żyli blisko drzew, służyły nam za schronienie, dawały ciepło a także pożywne, często lecznicze kwiaty, liście, korę, korzenie czy owoce. Z drewna ludzie wytwarzali broń czy zabawki, budowali domy, tworzyli dzieła sztuki. Jednak teraz skupimy się na czymś zupełnie innym, nieoczywistym. Nie ważne, czy wierzysz w duchy przyrody, obecność Boga we wszystkim co stworzył, ten artykuł jest dla Ciebie. Pokażę, w nim, czym jest szacunek dla przyrody i jak wiele możemy nauczyć się od drzew.

Rdzenni mieszkańcy Ameryki Północnej nazywają drzewa „swoimi stojącymi braćmi i siostrami”. Człowieka upodabnia do drzew pionowa postawa, tylko, że my chodzimy, a one stoją. My poruszamy się i podlegamy zmianom, one spokojnie trwają. Według wielu starożytnych mądrości Świat kręci

się wokół osi centralnej, zwanej axis mundi. Ten środek świata bardzo często opisywany jest jako Drzewo Życia lub Drzewo Wszechświata. W swej istocie Drzewo Życia jest symbolicznym obrazem albo całego Wszechświata, albo chociaż naszej planety i wyraża przekonanie, iż wszelkie formy życia są święte i wzajemnie powiązane. Każda religia i kultura miała swoje idee Drzewa Życia. Do ciekawszych należą: drzewo Tooba w centrum muzułmańskiego Raju, Drzewo Świata Yggdrasil w mitach nordyckich oraz Ts'ogs-shing – Drzewo Zgromadzenia Bogów w buddyzmie tybetańskim. Ta sama koncepcja występuje pod różnymi postaciami w wielu mitologiach świata. Jednak jeden element pozostał niezmienny w patriarchalnych kulturach okresów post neolitycznych – jednoznaczna idea żeńskiego aspektu bóstwa.

Drzewo Życia zawsze wiązało się z bóstwami żeńskimi i Starożytną Matką Świata. Nie jest to zbieżność przypadkowa, bowiem Drzewo Życia jest Wielką Matką Stworzenia.

Nawet nasi przodkowie (Słowianie) wierzyli w dobroczynną moc drzew, nie tylko w lecznicze działanie korzeni, kwiatów czy owoców. Wierzyli, że przytulanie się do drzew, co można uznać za guślarstwo, pomaga w radzeniu sobie z problemami natury psychicznej. Ciężko w to uwierzyć, jednak dendroterapia ma bardzo silne podstawy naukowe. Holenderscy naukowcy przebadali grupę 10 tysięcy kobiet i mężczyzn w wieku od 16 do 26 lat. Stwierdzono, że osoby mieszkające w pobliżu lasu chorują o 20% rzadziej niż ludzie żyjący z dala od natury. Badacze stwierdzili, że nawet mieszkanie w drewnianym domu może znacząco poprawić nasze samopoczucie. Drzewa a nawet drewno z nich pozyskane bardzo pozytywnie wpływa na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne, drzewa emitują bardzo subtelną energię, która ma kojący wpływ na ludzki organizm – ma właściwości przeciwbólowe, przeciwzapalne i bakteriobójcze. Drzewa działają kojąco na układ nerwowy i pozwalają się zrelaksować.

Fakty faktami, ale jak się przytulać, żeby to działało?

Wyjścia są dwa.

1. Masz dużo pieniędzy, dajesz się nabrać na specjalne oferty klinik, które oferują dwugodzinne sesje za niesamowicie wygórowane ceny, zapewniają, że ich drzewa są najlepsze, najzdrowsze, NAJ.

2. Po prostu chcesz.

Tak to takie proste. Jednak warto zapamiętać kilka zasad.

Po pierwsze i najważniejsze, drzewo musi być zdrowe, nie powinno mieć żadnych dziwnych narośli, grzybów. Jeśli znaczna jego część jest uschnięta, walczy z chorobą, tym samym cała jego siła i energia jest przeznaczana właśnie na tę walkę. Takie drzewo nie zabierze Ci energii, nie zrobi Ci krzywdy, nie zrobi właściwie nic.

Ostatnia sesja dendroterapii powinna odbyć się maksymalnie dwie godziny przed snem.

Najlepiej zaczynać wcześniej rano lub w godzinach 16–18.

Sesje dendroterapeutyczne nie powinny przekraczać kilku minut, warto w ciągu tych chwil korzystać z energii kilku drzew, by uniknąć gwałtownych skoków ciśnienia.

Latem dendroterapia pomaga w leczeniu dolegliwości fizycznych, natomiast zimą – działa kojąco na psychikę.

Najbardziej efektywny przekaz energetyczny jest też w przypadku drzew w czasie kwitnienia.

Oto kilka drzew, których działanie jest najbardziej znane:

DĄB – jest silnym generatorem pozytywnej energii i przyczynia się do poprawy funkcjonowania mózgu. Działa również antystresowo. Dodatkowo dąb poprawia krążenie krwi oraz skraca okres wychodzenia z choroby.

BRZOZA – jedno z najbardziej cenionych przez Słowian drzew. Może nawet wziąć na siebie chorobę danej osoby. Jest źródłem energii i witalności. Pomaga przy przeziębieniach i grypie. Brzoza idealnie jonizuje powietrze.

MODRZEW – leczy zaburzenia układu nerwowego. Jest bardzo pomocny przy napadach melancholii i depresji. Jego działanie pozwala zobaczyć lepsze strony życia. W domach z modrzewia zaleca się przebywanie osób z problemami układu oddechowego.

SOSNA, BUK, JABŁOŃ – wzmacniają odporność organizmu, łagodzą zmęczenia, redukują stres. Długotrwałe przebywanie w sosnowym lesie łagodzi kaszel i katar.

OSIKA, WIERZBA I TOPOLA – ofiarowują spokój, dają jasność myślenia.

*A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łącznie słodki sen przypadnie.*

Jan Kochanowski „Na Lipę”

Więc, Młody Artysto, potrzebując natchnienia, spokoju czy inspiracji, usiądź pod lipą, oprzyj o nią plecy. Nawet nie zauważysz, kiedy poczujesz się lepiej.

Z pozdrowieniami Kryńska



KOBIETY W SZTUCE – PO DRUGIEJ STRONIE PŁÓTNA

ZOBACZYSZ, BĘDZIESZ ARTYSTKĄ.

Tak? A znasz jakąś artystkę? Wymień chociaż dwie.

Cisza. Po chwili zastanowienia tata odpowiedział z uśmiechem świadczącym o pozornym wybrnięciu z sytuacji – Ciebie.

Po tej rozmowie, kilka miesięcy przed moją przygodą ze szkołą plastyczną, zrodził mi się pomysł na ten artykuł. Sama zadałam sobie pytanie „dlaczego właściwie nie ma wielkich artystek?”. Okazało się, że były, są i będą. Teraz, kiedy lepiej zbadałam temat, mogę zrobić wszystkim prezent na dzień kobiet i pokazać te niesamowite osoby, o których zapomniano.

Zaznaczam, że jeśli chciałabym dokładnie opowiedzieć historii tych pań i jeszcze ich wpływ na dzisiejszy świat, powstałyby książki, na które nie ma tu miejsca, a które już zostały napisane przez bardziej kompetentne osoby. Dlatego zapraszam do lektury artykułu, skupiającego się na kilku najbardziej godnych uwagi kobietach-artystkach na przestrzeni wieków, zwłaszcza tych, o których się milczy. Mam nadzieję, że uda mi się zaskoczyć nawet historyków sztuki.

Zacznę od renesansu. Tu pojawiają się pierwsze informacje o kobietach w sztuce, i to w kontekście zgoła innym niż piękne madonny i „grandes horizontales”. Na pierwszy ogień idzie wyjątek wśród wyjątków – Properzia di’Rossi (1490-1530). Jak malarki tego czasu były rzadkością, tak rzeźbiarki to niemal mit. Di’Rossi jest jedyną znaną renesansową rzeźbiarką, jedyną kobietą, której Vasari poświęcił cały rozdział (!) w swoim dziele „Żywoty najsłynniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów” (1550) i pierwszą osobą rzeźbiącą w... pestkach owoców. Ze względu na koszty materiałów ale i brak możliwości uczęszczania na lekcje rzeźby, Di’Rossi na początku swojej kariery rzeźbiła w pestkach brzoskwini, śliwki i wiśni. Wyobrażacie sobie jej determinację? Tak bardzo pragnęła rzeźbić, że znalazła na to sposób. Później nauczyła się grawerunku a nawet rzeźby w marmurze! Wciąż

pozostaje tajemnicą odpowiedź na pytania JAK i GDZIE nauczyła się rzemiosła, skoro nie uchodziło kobiecie patrzeć na nagich mężczyzn (niezbędne wtedy studium postaci) ani nawet dotykać dłut. Do dzisiaj przetrwały jej dwa dzieła. „Family Coat of Arms” (ok. 1510) – misterna robota pełna detali. Te brązowe kamienie to właśnie pestki owocowe, na nich z jednej strony wizerunki 11 apostołów a z drugiej święte kobiety. Drugie dzieło: jedna z tablic marmurowych przeznaczona na fasadę Bazyliki San Petronio w Bolonii przedstawiająca Józefa i żonę Potifara (1525-26). W tym głębokim i dynamicznym reliefie widać wpływ Rafaela i Michała Anioła. Co jeszcze świadczy o sile tej kobiety? No na pewno ciekawy fakt, że dwa razy stawiała przed trybunałem. Raz, za rzekome zniszczenie ogródka sąsiadowi (niezbyt ciekawe), a drugi za napaść na innego artystę (rzucanie farby w twarz i drapanie oczu – to już ciekawsze).

O kolejnej bohaterce, gdy miała 15 lat pisano „podpora Italii”, a jej dzieła mylono z obrazami m.in. Tycjana, van Dycka czy Moronego... Mowa o Sofonisbie Anguissoli (1532-1625) niesamowitej portrecistce i kobiecie, która osiągnęła to, co pisane było tylko malarzom-mężczyznom. Jako mała dziewczynka przejawiała talent i ojciec-erudyta Amilcare wykorzystując swoje znajomości posłał ją do pracowni najpopularniejszego wtedy artysty – Bernarda Campi, później uczyła się u Bernarda Gratti. Nauka w jej przypadku zajęła 6 lat, podczas gdy chłopcy uczyli się od mistrzów po kilkanaście, od dziecka. Wcześniej wspomniany ojciec robił wszystko, żeby pomóc najstarszej córce – zabiegał nawet o wsparcie Michała Anioła, przysyłając mu rysunek Sofonisby przedstawiający niezwykle trudny temat, jakim było płaczące dziecko. Anioł był pod wrażeniem i rysunek dziewczyny wraz ze szkicem samego mistrza trafił do Kosmy Medyceusza (znanego kolekcjonera sztuki). W końcu zyskała wielką sławę i uznanie, wyjechała na dwór Filipa II do Madrytu, została nauczycielką i damą dworu królowej Elżbiety Walezjuszki. Kobiety



← Sofonisba Anguissola, „Gra w szachy”

utrzymywały ze sobą ciepłe stosunki, malarka dostawała od królowej drogie prezenty i spędzały ze sobą dużo czasu (zaryzykuję nawet stwierdzenie, że się przyjaźniły). Sofonisba była nadworną malarką do 1573r. Co ciekawe, po śmierci Elżbiety król Filip OBDAROWAŁ Sofonisbę posagiem i wydał za Włocha szlachetnego pochodzenia. Nawet po wyjeździe artystki z Madrytu wciąż utrzymywała bliskie stosunki z rodziną królewską. Jej przypadek sprawił, że malarstwo zostało akceptowanym zajęciem w kręgach arystokratycznych. Decyzja Amilcarego o artystycznej edukacji córki była znacząca – dzięki tej historii artyści zaczęli chętniej przyjmować do swoich pracowni kobiety. Gdy Sofonisba Anguissola miała ponad 90 lat, o spotkanie z nią zabiegał wszystkim znany Anton van Dyck, który szczerze się nią fascynował. Udało mu się to i podczas wizyty sporządził szkic staruszki, która opowiedziała mu historie ze swojego życia. Jej najbardziej wyjątkowy obraz „Gra w szachy” przedstawia trzy siostry autorki podczas partii szachowej. Anguissola czaruje swobodnym ujęciem scenki rodzajowej, gdzie najmłodsza z uśmiechem przygląda się porażce średniej siostry. Nawet Vasari chwali ten portret pisząc, że jest jak żywy. A to przecież komplement dla artysty. Jeśli kogoś zaciekawiłam,

to może bez problemu obejrzyć obraz w oryginale. Tak, „Gra w szachy” znajduje się w Muzeum Narodowym w Poznaniu, a jeden z wielu autoportretów artystki jest w Zamku w Łańcucie. Bardzo gorąco zachęcam do przyjrzenia się jej wszystkim dziełom!

Teraz czas na niesamowicie zawziętą i pewną siebie Artemisję Gentileschi (1593-1654), artystkę wczesnobarokową. Mam wrażenie, że jej osoba idealnie pasuje do dynamicznego malarstwa tej epoki. „Odnajdziesz ducha Cezara w duszy tej kobiety” – tak pisała o sobie w liście do jednego z mecenasów. Gentileschi miała szczęście, gdyż w jej czasach na naukę miały szansę prawie wyłącznie córki malarzy, a jej ojciec Orazio właśnie takowym był. Ucząc ją rzemiosła nie chciał, żeby została zawodową malarką, jednak życie chciało inaczej. Kiedy Artemisa była nastolatką, miało miejsce zdarzenie o wielkim wpływie na jej późniejszą twórczość – została zgwałcona przez malarza i partnera biznesowego jej ojca – Agnostina Tossi. Sprawę o gwałt wygrała. W XVIIw. wygrać sprawę o gwałt? W wieku 17 lat? Przecież to brzmi niewiarygodnie! Kobiетom w ogóle rzadko kiedy wierzono, że coś podobnego miało miejsce. Dlatego w jej pracach kobiety niemal zawsze są silnymi heroinami. Jej wczesna praca „Zuzanna i starcy” pokazuje

w agresywny sposób starców, którzy naruszają przestrzeń osobistą dziewczyny (mówiąc delikatnie) a nie grzecznie przyglądają się zza płotu, jak np. u Tycjana. Z kolei po wyjeździe z rodzinnego miasta, już po procesie sądowym, Gentileschi namalowała serię przedstawiającą Judytę i Holofernesa. Kiedy u Caravaggia Judyta jest młodą dziewczyną brzydzącą się swojego czynu, u malarki na twarzy sprawczyni maluje się wyraz zemsty i złości, jak można się domysleć, źródło takiego a nie innego przedstawienia jest zakorzenione głęboko w Artemisie. Całe życie walczyła. Nawet kiedy należała do najbardziej pożądaných artystów jej wieku, musiała walczyć o sprawiedliwe wynagrodzenie (dostawała 1/3 wartości w stosunku do męskich malarzy). W listach do swojego ówczesnego mecenasa – Karola I – z ogromną pewnością pisała o wartości własnej pracy. Wtedy padło znane zdanie „Prace będą mówić same za siebie. A z tym [listem] kończę z pokornym pokłonem”. Osiągnęła pozycję społeczną, która pozwoliła jej na samodzielną sprzedaż i zakup dzieł, na podpisywanie kontraktów BEZ ZGODY MĘŻA. Trzeba przyznać, że co jak co, ale siłę i determinację to ona miała.

Uciekając z Włoch, przenieśmy się do Holandii. Może to będzie dużo powiedziane, jeśli porównam ją do Rembrandta, ale mogę chyba powiedzieć, że była jego damskim odpowiednikiem. Judih Leyster (1609-1660) również swoją techniką wyprzedzała epokę, a jej dzieła inspirowały Fransa Halsa – najważniejszego malarza Haarlem tego czasu. Zresztą artystka również ulegała jego wpływom. Można to nazwać wzajemnym podziwem. W 1633r. jako pierwsza kobieta otrzymała tytuł mistrzowski w haarlemskiej gildii św. Łukasza (!). Leyster często malowała radosne sceny rodzajowe z udziałem muzykantów, dużo uśmiechniętych twarzy, pijackich scenek i białych kołnierzy (no wiadomo, kalwinizm). Otworzyła własne studio, miała nawet uczniów. Jednak jej samodzielna kariera malarska skończyła się w 1636r. wraz z poślubieniem malarza Jana Miensa Moleandra. Judih pochłonęły dom i dzieci, jednak raz na jakiś czas malowała w pracowni męża podpisując się nowym nazwiskiem. Niestety wiele jej prac jest przypisywanych właśnie albo Halsowi, albo Moleandrowi. A wielka szkoda, bo mają w sobie żywą ekspresję i ruch, portrety świetnie oddają charakter modela, a sposób nakładania plam jest nowatorski. Zdecydowanie należy jej się pamięć i uznanie.

To teraz skok do rokoka – poznajcie Maurgerite Gérard (1761-1837). Jak większość malarek, tworzyła obrazy o tematyce domowej, opowiadającej o życiu bogatej klasy średniej Paryża. Nie była



→
Sofonisba Anguissola
„Kobieta w futrze”



←
Artemisia Gentileschi
„Autoportret”

→
Judith Leyster
„Radosny Pijak”



←
Properzia de' Rossi
„Józef i żona Potifara”

→
Judith Leyster
„Autoportret”



←
Jean Honore Fragonard
„Portret Marguerite”

→
Properzia di Rossi
The Coat of Family Arms



←
Sofonisba Anguissola
„Dziecko uszczypnięte przez kraba”

zainteresowana Królewską Akademią, nigdy nie wyszła za mąż, a mimo to prowadziła udaną karierę artystyczną. Wygrała trzy medale dzięki regularnym wystawom na francuskim Salonie, w którym od 1790r. kobiety mogły brać udział. Dzieła Maurgerite były doceniane i kolekcjonowane przez oświeceniowców pokroju Napoleona i Ludwika XVII! Jej zainteresowanie sztuką ukształtował przyrodni brat, jakim był Jean-Honoré Fragonard – znany i ceniony malarz epoki oświecenia. Po przeprowadzce z Grasse do Paryża była niezależna finansowo, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na zakup materiałów potrzebnych do nauki. Początkowo uczyła się technik graficznych, później malarstwa olejnego. Dość wcześnie, bo jeszcze przed trzydziestką wypracowała swój własny styl, dzięki czemu jej prace były bardziej rozpoznawalne. Sławy dodał jej jeden z ambitniejszych obrazów: „Clemensy of Napoleon” i wcześniejszy (często reprodukowany) „Geniusz Franklina” gdzie Benjamin Franklin występuje z alegorycznym przedstawieniem Ameryki jako kobiety. Portretowała ówczesne sławy – aktorów, malarzy i mecenasów – co tylko potęgowało jej popularność. Jako ciekawostkę jeszcze powiem, że Gérard często malowała postacie w historycznych strojach z wcześniejszych epok, kiedy jej „równieśnicy” wybierali raczej współczesny ubiór.

Każda z przedstawionych wyżej kobiet była artystką w świecie nieprzystępnym takim wybrykom, jak kobieta z pędzlem w dłoni. Ten artykuł ma raczej charakter encyklopedyczno-ciekawostkowy niż faktycznie „historyczno-sztuczny”, ale pocieszam się myślą, że każda z tych pań może zostać na nowo odkryta. Potraktuję więc ten tekst jako ścieżkę, prowadzącą do prawdziwych artykułów, pisanych bardziej naukowo.

Pisząc, posiłkowałam się informacjami z takich portali jak NiezłaSztuka.net; Artsy.net; Google Arts & Culture; Wikipedia.org. Podaję je, żeby zainteresowane jednostki miały o co się zaczepić znając już kilka nazwisk. A, jeszcze jedna sprawa – w następnym numerze Ramoty ukaże się ciąg dalszy historii kobiet w sztuce (XIX i XX w. – czyli to, co lubię najbardziej). Podział był konieczny ze względu na moją skłonność do upartego pakowania setek nazwisk, a co za tym idzie, tworzenia bardzo obszernych materiałów. Wszystko to będzie do zobaczenia w czerwcu ma łamach gazety!

Anna Myszkowiak 3a

SZÓSTKA WRON

LEIGH BARDUGO ZADEBIUTOWAŁA bestsellerową serią „Trylogia Grisha”. Świat wykreowany przez autorkę oczarował tysiące czytelników na całym świecie. Ja przeczytałam inną książkę jej autorstwa pt. „Szóstka Wron”. Dla mnie było to pierwsze spotkanie z jej twórczością i już mogę powiedzieć, że było jak najbardziej warte tych kilku zarwanych nocy oraz długiej listy niezrobionych rzeczy.

Główny bohater Kaz Brekker jest geniuszem zbrodni, najbardziej utalentowanym złodziejem w całym Kattedramie. Pewnego dnia otrzymuje od członka Rady niecodzienną propozycję: ma włamać się do Lodowego Dworu, niezdobytej wojskowej twierdzy, i odbić stamtąd zakładnika, którego wiedza jest w stanie rozpętać magiczną wojnę światową. Nic trudnego. Teraz Kaz potrzebuje zebrać zespół, którego członkowie będą równie nieprzewidywalni jak on sam i wystarczająco zdesperowani, aby podjąć się tej samobójczej misji. W światku przestępczym nie stanowi to większego problemu, bo kogo nie oczaruje wizja okrągłej sumki na koncie?

Szóstka najbardziej niebezpiecznych wyrzutków z miasta decyduje się wyruszyć na północ. Razem mogą być nie do zatrzymania i dokonać niemożliwego, o ile wcześniej nie pozabijają się nawzajem.

Leigh Bardugo poprowadziła akcję po mistrzowsku. Opisy w bardzo obrazowy sposób przedstawiają nam Kattedram, jego mroczne zaułki i samych bohaterów. Historia przedstawiona jest z perspektywy każdej z „wron”, a sporadycznie również innych postaci. Wszystko rozgrywa się w umiarkowanym tempie, aby później przyspieszyć z każdym kolejnym rozdziałem. Z zapartym tchem przewracałam kolejne strony, aby zakończyć tą szaloną gonitwę na szokującym finale. Jeszcze chwilę po przeczytaniu ostatniego zdania mrugałam zaskoczona, zastanawiając się czy to naprawdę koniec, a ja nie mam wybrakowanego egzemplarza. Niestety wszystko było na swoim miejscu, a au-

torka zwyczajnie postanowiła zabawić się czytelnikiem i urwać akcję w najmniej spodziewanym momencie.

Chociaż pomysł napadu na lodową twierdzę brzmi niczym scenariusz z „Mission: Impossible”, to pani Bardugo wykorzystała go w najlepszy możliwy sposób. Z czegoś z pozoru banalnego stworzyła gratkę dla fanów fantastyki. Jednak to nie jest jedyny wątek w tej powieści. Autorka zwraca uwagę na wiele problemów społecznych i politycznych, np: dyskryminację rasową, konflikty rodzinne, hazard, handel ludźmi, wykorzystywanie dzieci i przede wszystkim, jak pieniądze mogą omamić człowieka. Ze względu na to, że głównymi bohaterami są mordercy, w książce pojawia się kilka krwawych scen. Jednak pisarka opisuje je z dużym wyczuciem i nawet wrażliwszy czytelnik powinien być w stanie przez nie przebrnąć.

Największym atutem „Szóstki Wron” są sami bohaterowie, którzy są wykreowani w niesamowity sposób. Postacie niemalże żyją na kartkach książki, są pełni skrajności i nieprzewidywalni. Każdy z nich ma własny charakter. Mimo że „wrony” to zaledwie nastolatki (Kaz, najstarszy z nich, skończył osiemnaście lat) psychicznie wydają się być o wiele starsi. Wydarzenia z przeszłości odcisnęły na nich swoje piętno i zmusiły do dorosłości, aby mogli przetrwać w świecie pełnym niebezpieczeństw. Najlepiej widać to w kreacji Kaza, który jest krzyżówką Sherlocka Holmesa i Ethana Hunta. Ten chłopak to najlepszy kanciarz w Kattedramie i działa bez żadnych skrupułów. Z jednej strony jego zachowanie mnie przerażało, a z drugiej został jedną z moich ulubionych postaci.

Przy recenzowaniu tej książki nie można nie wspomnieć o jej pięknym wydaniu. Piękna i klimatyczna okładka, do tego w twardej oprawie to jedno. Ale moje serce zdobyły czarne grzbiety każdej strony oraz kontrastująca z nimi czerwona wstążka.

Jak dla mnie „Szóstka Wron” to strzał w dziesiątkę! Łączy w sobie genialną historię, pełnokrwistych bohaterów i wartką akcję. Nie wspomniałam wcześniej o świetnym czarnym humorze, jakim posługują się „wrony”. Czytanie tej książki to czyta przyjemność i już nie mogę się doczekać, aż przeczytam kolejną część „Królestwo Kanciarzy”. Dużym plusem jest to, że nie trzeba znać Trylogii Grisha, aby móc cieszyć się tą historią. Jestem w niej całkowicie zakochana i gorąco ją polecam! Mam nadzieję, że sięgniecie po tę książkę i się nie zawiedziecie.

Aleksandra Łobacz 1B

KAŁAMARZ – OBELGA CZY KOMPLEMENT?

SOBOTA MOŻE BYĆ wykorzystana na wiele różnych sposobów. Niektórzy przeznaczają cały dzień na odpoczynek i odreagowanie minionego tygodnia, inni zaś poświęcają go na załatwienie rzeczy odkładanych z poniedziałku na wtorek, wtorku na środę, środy na czwartek, czwartku na piątek i w rezultacie z piątku na sobotę. Tym razem zmuszona byłam nadrobić moje „odkładanie” i załatwić kilka spraw. Oczywiście nie mogłam zrobić tego od razu po śniadaniu. W celu wykonania moich zadań należycie, musiałam się do tego odpowiednio przygotować. Zapewniłam swojemu organizmowi dawkę kofeiny, poleżałam jeszcze trochę w łóżku, nałożyłam trzy warstwy kremu ochronnego (w końcu mamy zimą) i przeczytałam wszystkie nagromadzone wiadomości, na które nie mogłam odpowiedzieć, bo przecież i tak mam już masę rzeczy do zrobienia. Na zakończenie tego „rytuału” zadbałam o mój poziom endorfin, jedząc kostkę czekolady. Tak przygotowana, mogłam zacząć załatwianie wszystkich zaległości. Świat stał przede mną otworem, czułam, że nawet góry mogą przenosić. Niestety. Nic nie trwa wiecznie.

Idąc załatwić pierwszą sprawę, minęłam niewielką grupę ludzi. Powiedzmy, że była tam jedna rodzina trzyosobowa (mama, tata, syn) oraz kolejna trójka osób, (dwóch mężczyzn i jedna kobieta) której relacji nie jestem w stanie określić. Mijając ich, usłyszałam jak jeden z panów mówi do (prawdopodobnie) taty z pierwszej trójki „Ale z ciebie kałamarz!” Byłam bardziej niż zdziwiona. Byłam zdezorientowana, zaskoczona, oszołomiona i trochę zagubiona. Co on miał na myśli? Czy pan tata to zrozumiał? Jeżeli tak, to jak to zinterpretował? Jak JA mam to zinterpretować? Postanowiłam nie dać emocjom przejąć kontroli, tylko przeanalizować tę niejednoznaczną wypowiedź, przecież byłam tak dobrze przygotowana, że nie powinno to stanowić dla mnie problemu.

Najpierw zadałam sobie pytanie kluczowe: to była obelga czy komplement? W pierwszej chwili stwierdziłam, że ton wskazywał raczej na obelgę, ale jakbym miała zastąpić słowo „kałamarz” słowem „idiota” albo „wspaniała osoba” to wydawało mi się neutralne. Trzeba jednak podjąć decyzję, więc spróbowałam zinterpretować kałamarz w dwóch wersjach i sprawdzić, która jest dla mnie bardziej wiarygodna. Gdybym miała użyć tego jako obelgi, to mogłabym kierować się tym, że kałamarz może się przewrócić i atrament zaleje nam pracę. W tym wypadku nazwałabym tę osobę kimś zdradliwym, a biorąc pod uwagę dzisiejsze wynalazki i rozwój techniki, to kałamarz mógł oznaczać osobę bezużyteczną, zbędną, staroświecką. Zakładając natomiast, że mamy do czynienia z komplementem, to można powiedzieć, że ktoś jest klasyczny, bądź tradycyjny. Warto zwrócić też uwagę na zasługi kałamarza w kulturze i ile wspaniałych utworów dzięki niemu powstało! Obydwie wersje do mnie przemawiały, frustracja rosła, poziom endorfin opadał. Może był to sposób na podtrzymanie rozmowy? Zaszifrowana wiadomość? Wynik zwykłej pomyłki lub przejęzyczenia? Musiałam trochę ochłoniąć i dać sobie więcej czasu, zająć myśli czymś innym.

Wszystkie odłożone sprawy zostały załatwione. Wróciłam do domu, zrobiłam kawę i znów zaczęłam się zastanawiać. Mijały godziny, kawy było coraz mniej, a do rozwiązania zagadki nie zbliżyłam się nawet o krok. Czułam, że czas sięgnąć po pomoc, musiałam to z kimś skonsultować. Nie wiem, czy wybrałam do tego nieodpowiednią osobę, czy źle przedstawiłam problem, ale nie przyniosło to żadnych skutków. Obawiam się, że dojście do prawdy jest ponad moje siły i możliwości. Pozostało mi tylko pogodzić się z tym, że na pewne rzeczy nie można się przygotować.

Maja Myszkowiak 1b

POWTÓRKA Z HISTORII LITERATURY

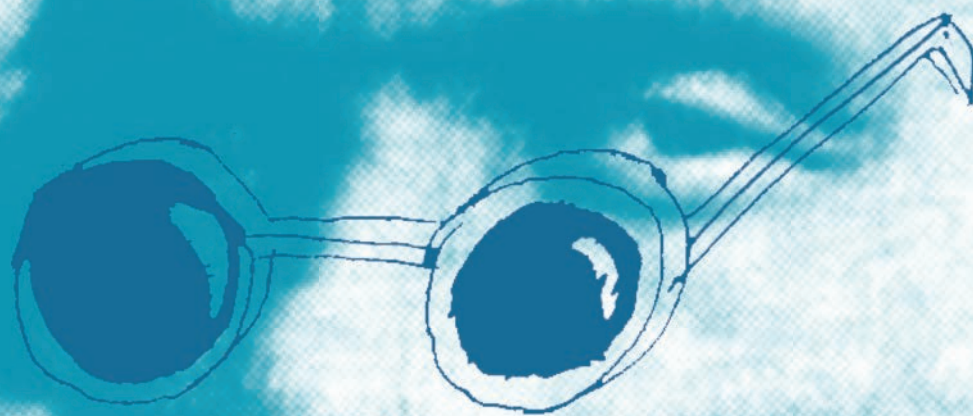
ROMANTYZM, JAK KAŻDA literacka epoka, stwarzał nowe ideały, a co za tym szło, nowy typ bohatera, który miał za zadanie reprezentować wychwalane przez romantyków wartości. Ten typ bohatera jednak nie ma sztywnych wytycznych, kodeksu zachowań, których nie wolno zmieniać. Czym zatem charakteryzuje się protagonista literatury XIX wieku?

W „Dziadach” cz. III poznajemy Konrada, który idealnie ilustruje różnorodność cech i zachowań romantyków. Najsłynniejszy fragment lektury, czyli „Wielka Improwizacja”, to monolog Konrada, znajdującego się w poetyckim uniesieniu, bo bohater romantyczny to przede wszystkim artysta, poeta, egzaltowany twórca i samotnik. Konrad wyznaje swoją miłość do narodu, która ma zastąpić mu niespełnioną miłość do kobiety. Utożsamia się ze swoją cierpiącą ojczyzną, mówiąc słynną kwestię: „Nazywam się Milijon – bo za miliony kocham i cierpię katusze”. Przedstawia tym samym jedną z postaw romantycznych bohaterów – prometeizm. Postawa ta nawiązuje do mitologicznego poświęcenia się jednostki dla dobra ogółu. Konrad jest więc patriotą, który porównuje się z Bogiem, podkreślając, że jest jednostką wybitną, stawia się też w roli męczennika, jest natchnionym poetą i buntownikiem.

Inne dzieło Mickiewicza ukazuje kolejny typ literackiego bohatera epoki romantyzmu. W eposie pt. „Pan Tadeusz” poznajemy zawiłą historię Jacka Soplicy, który dopiero umierając, ujawnił bratu i Gerwazemu swoją tożsamość. Początkowo Soplica nosi wiele cech typowo sarmackich – w młodości to wpływowy szlachcic, skłonny do „bitki i do wypitki”, inteligentny, porywczy, przyjaźni się z magnatem Horeszką i planuje ślub z jego piękną córką Ewą. Po wielu perypetiach i nieszczęśliwych zdarzeniach znika z kart dzieła, choć funkcjonuje

w świadomości innych bohaterów, którzy często o nim wspominają. Znika Soplica, ale pojawia się ksiądz Robak – skromny, pobożny, tajemniczy mnich, który całe swoje życie poświęcił działalności patriotycznej. Jest emisariuszem, przygotowuje powstanie na Litwie, aby wesprzeć wojska Napoleona, gdy ten wkroczy do Rosji. Pełną historię swojego życia zdradza na łożu śmierci, gdy prosi swego zapiekłego wroga Gerwazego o wybaczenie. Umieranie Soplicy/Robaka wystylizował Mickiewicz na sposób średniowieczny i jest to motyw ars moriendi, czyli sztuka umierania – nad głową bohatera jaśnieją promienie wschodzącego słońca, które wpadając przez okno, tworzą aureolę. To jest też przedstawienie bardzo typowe dla romantyków, podkreśla bowiem niezwykle związek człowieka z naturą, która go opisuje i charakteryzuje.

Przemiana bohatera, zaznaczona zmianą imienia, to typowa sytuacja w literaturze romantycznej. Podobnie jak nieszczęśliwa miłość i poświęcenie życia dla idei, najczęściej walki o niepodległość ojczyzny. Widać to także w dramacie Słowackiego „Kordian”. Samo imię bohatera jest już jego charakterystyką, bo oznacza „dający serce”, a więc podkreśla emocjonalność i uczuciowość postaci. Bohater ten ma wiele cech romantycznych – jest tu nieszczęśliwa miłość, jest symboliczne samobójstwo, jest bunt wyrażony w monologu na szczycie Mont Blanc, jest działalność spiskowa przeciwko carowi, jest poświęcenie dla ogółu zwane od nazwiska średniowiecznego rycerza ze Szwajcarii wikenlriedyzmem. Nieszczęśliwa miłość do Laury staje się imperatywem przemiany zarówno Kordiana, jak i Soplicy/ks. Robaka czy Gustawa/Konrada. Ale nie zawsze tak bywa. Werter z powieści Goethego zakochany w Lottcie nie potrafi przekuć swego cierpienia na poświęcenie żadnej idei. A warto tu zaznaczyć, że cierpi z miłości, która



od początku nie ma szansy na realizację wg wyobrażeń Wertera, gdyż Lotta jest już zaręczona i nie ukrywa tego faktu przed Werterem. Angażuje się w ten związek, a potem nie potrafi się pogodzić z faktami i odbiera sobie życie. Werter jest jednym z pierwszych bohaterów romantycznych, możliwe że właśnie dlatego wśród niemieckiej młodzieży znalazł wielu naśladowców – od charakterystycznego stroju (błękitny frak, a pod nim żółta kamizelka), przez egzaltację w wyrażaniu uczuć, po samobójstwa niestety też. Wertera poznajemy także jako wspaniałego obserwatora natury, która w powieści pełni funkcję tzw. pejzażu mentalnego, tzn. odzwierciedla stany emocjonalne bohatera.

Z perspektywy wieków interpretacje postaw bohaterów poszczególnych epok wydają się czasem naiwne, czasem imponują, czasem zastanawiają. Oczywiście są oni reprezentantami prądów ideowych epoki – romantyczna postawa i definicja patriotyzmu wynika jednoznacznie z sytuacji politycznej Polski XIX wieku i choćby dlatego warto ją nie tylko poznawać, ale próbować zrozumieć, bo każda z tych postaci jest tak samo oryginalna, jak świat naszych własnych uczuć.

„Lecz los chciał inaczej i Kordian
skończył... no właśnie nie wiadomo
jak skończył”

(Tomek 5b)

„Przyroda jest rodzajem inspiracji dla
wszelkiego rodzaju artystów i nie tyl-
ko”

(Monika 5b)

„Z powodu, że to niewątpliwie człowiek
wrażliwy i posiada bogate życie wewnętrz-
ne, no to jest on poetą romantycznym”
(Patryk 5b o Konradzie z III cz. „Dziadów”)

„Jakie są konsekwencje kłótni bohaterów „Ludzi bez-
domnych”? Judym bez pracy, Krzywosąd w rzece”
(Patryk 5b)

„Zapatrzenie w nowy ideał doprowa-
dziło bohatera do ruiny psychicznej”
(Sebastian 5b o Wokulskim i jego
miłości do Łęckiej)

„Bóg w życiu Sopolicy jest obecny żywo.
Na przykład poprzez piękno krajobra-
zu czy szczególniej nowinie o zawiesze-
niu wojny”

(Nina 5b)

„Konrad jest dumnym patriotą a cechuje go
ważniactwo”

(Natalia 5b)

"Z powodu że Bóg nie odpowiada pod wpływem
złych demonów, Konrad prawie bluźni i pada
nie ziemię" (przecinek MA ZNACZENIE!-przyp.
E. Wrona)

„Dziedzina działalności Safony? Ero-
tyka”
(Ktoś z 1b)

„Zanika pobożność. Dotyka to nawet nie-
wiad” (analiza satyry „Świat zepsuty”.
(Dominika zb)

„U romantyka to i miłość do ojczyzny nie
należała do szczególnie”
(Nina 5b)

Przedstawioną mamy taką sytuację,
że Wokulski spacerując, obserwuje
biegnące życie po ulicach Paryża”
(Nina 5b)

Ze szkolenia BHP dla pracowników ZSP: „Gdzie nie
spojrzymy, tam prąd sobie płynie. I jak karabin raz
do roku może wystrzelić, tak ten prąd może zabić”.

A PO LEKCJACH? REŻYSERKA!

Z Nikodemem Janem Nowakiem
rozmawia Izabela Kryńska

NIKODEM JAN NOWAK z klasy dyplomowej na pozór niczym się nie wyróżnia z tłumu naszych uczniów. Biega po szkole z plecakiem i kubkiem kawy, ma nieobecności, rysuje i maluje tak, jak szkoła przykazała. Jednak jest coś, o czym warto wspomnieć. Nikodem pracuje nad filmem o kobiecie, której postać, jak sam mówi, zasługuje na „naświetlenie”. Umówiłam się z nim na wywiad, jednak nie przeczytacie niżej nic, co jest wywiadem. To będzie bardzo barwna opowieść o artyście (bo już na tę chwilę można tak Nikodema nazwać). Przyszedłam na miejsce spotkania i nie ukrywam, że spodziewałam się zwykłej, sztywnej rozmowy w bursianej świetlicy. Jednak zostałam pozytywnie zaskoczona. Przywitały mnie dźwięki pianina. I oczywiście Nikodem:

-Kawki? Herbatki? (Wiadomo że kawki!). Siadamy, pijemy. Nikodem kontynuuje:

Projekt to film „Niepokonana” inaczej „Świat bez krzyku”, jest to dokument o zmarłej na białaczkę Beacie Nowak. Była absolwentką KUL-u, nauczycielką języka polskiego w Liceum im. Unii Lubelskiej. Umarła w 2017 roku w Katowicach.

I: Jakie stanowisko obejmujesz w tym projekcie?

N: Reżyseruję ten film, choć jestem jedynym członkiem ekipy, który nie poznał nigdy Pani Beaty Nowak. To z jednej strony trudne, bo nie wiem, jaką była osobą, a z drugiej strony myślę, że to daje mi sporo możliwości, bo mogę w pewnym sensie wykreować jej postać. Ze zdjęć wiem jak wyglądała, a poprzez wywiady, które prowadzimy, przez życiorys jaki mi się otworzył, widzę postać, która jest niesamowita. Na pewno miała coś takiego w sobie, że elektryzowała ludzi, czuję to we wszystkich wspomnieniach o niej, to są bardzo silne emocje. Na przykład jak prowadziła lekcje polskiego, miała taki zwyczaj, że gasiła światło, na każdej ławce zapalała świeczkę i kazała zamknąć oczy, a ona tym swoim pięknym,

radiowym głosem (pracowała również w Radiu Lublin), który też miałem okazję i przyjemność słyszeć z różnych nagrań, recytowała poezję. Ona stworzyła też ciekawe środowisko, dla uczniów LO prowadziła słynne warsztaty dziennikarskie i gromadziła bardzo wielu sławnych w tej branży ludzi.

I: Jak znalazłeś się w ekipie?

N: Całkiem przypadkowo. To są ludzie, którzy tworzą lubelskie filmowe środowisko, na czele z Piotrem Kamińskim, do którego po prostu napisałem. A tak się zdarzyło, że oni właśnie szukali kogoś, kto mógł by tym wszystkim pokierować, kiedy Piotr wyjedzie do Katowic. On wyjechał, a ja przejąłem ten projekt. Nie ukrywam, to było bardzo ciężkie zadanie, bo zawsze sam robiłem filmy i to mi wystarczało. Ale tego się nie da robić w pojedynkę. Zaczęliśmy więc współpracować. Tak to wyszło, że nagle ja, totalny amator, miałem kierować ludźmi. Na początku bardzo się tym przeraziłem i szło mi ciężko, ale teraz jest dobrze. Jesteśmy zgrani i tworzymy fantastyczne rzeczy. Film jest w trakcie powstawania, same zdjęcia potrwają do września tego roku. To będzie pełny metraż. Za-

ufało nam wielu ludzi w tym Asia Nowak, siostra Beata, która jest głównym narratorem w tym filmie.

I: Opowiedz o samym filmie.

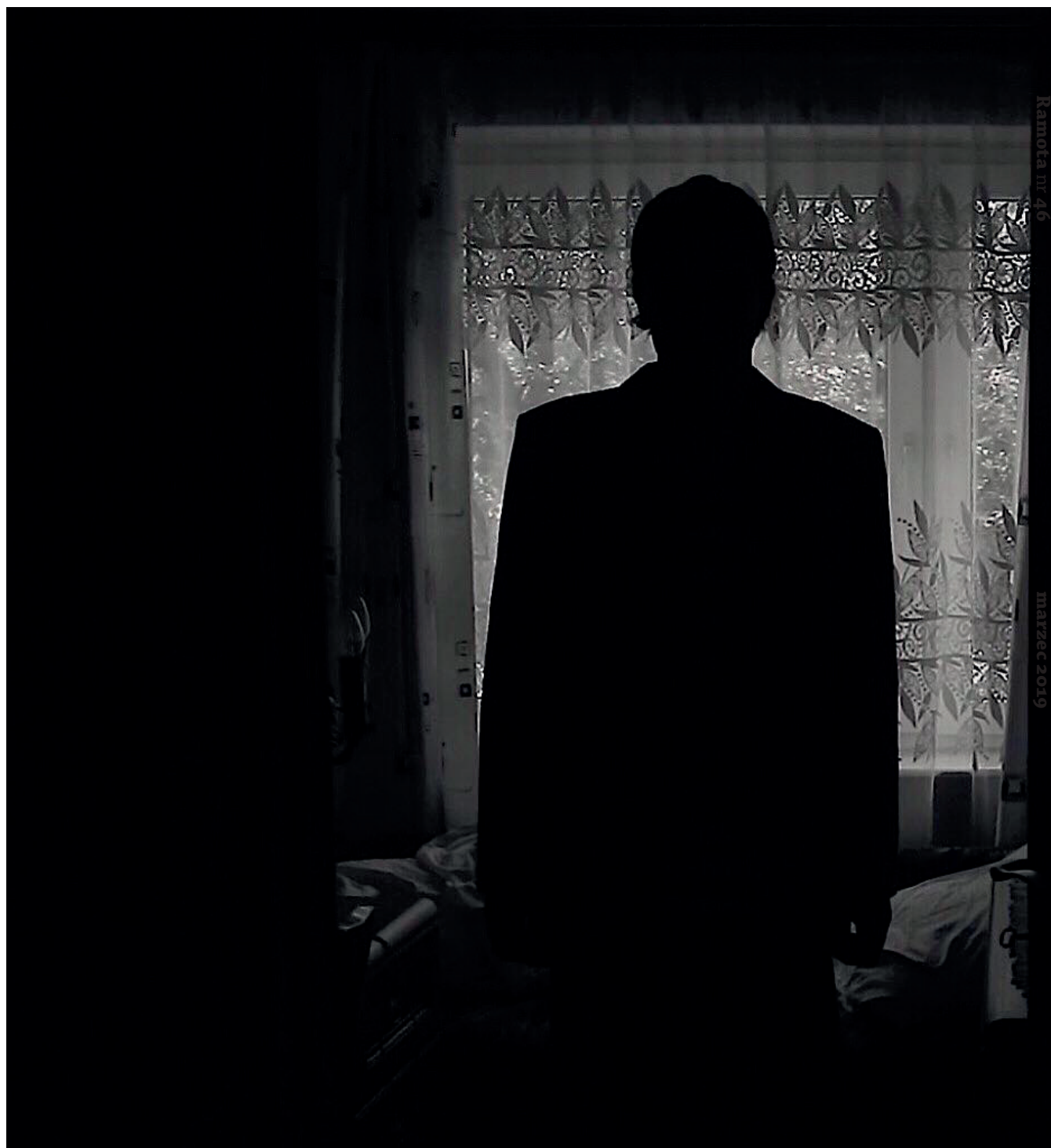
N: Ma on opowiedzieć i o życiu, i o śmierci. Beata była bardzo ambitna, miała niesamowitą wyobraźnię i tak chcę ją pokazać. Jako człowieka, który miał głód i chęć życia, ale wydarzyło się tak, że zapadła na straszną chorobę i niestety zmarła. Jest to też film o siostrach, które nie miały ze sobą bliskiego kontaktu. Asia mieszkała we Włoszech i wróciła do Polski w momencie, kiedy Beata umierała. I teraz śladami życia siostry chodzi po Polsce. Jest w Katowicach, Lublinie, Żmigrodzie, w Warszawie. Chodzi, żeby spytać ludzi, jaka była Beata. Tworzy sobie jej obraz, kim była, co robiła, wszystko od początku, od podstawowych pytań typu jaki lubi kolor, czy woli kawę czy herbatę.... Odkrywa swoją siostrę od początku.

I: Jak będziecie opowiadać tę historię?

N: Po ramie roku. Wiosna, zaczyna się jej życie, potem dorastanie, a więc rodzinny Żmigród, matka... Potem jest lato, pełnia życia, czyli okres



Liceum Unii gdzie pracowała. Na temat tego etapu mamy bardzo różne wypowiedzi, bo Beata miała wielu przyjaciół i bardzo wielu wrogów, jak to bywa w życiu. Przez to że była twórcza, była też kontrowersyjna, nie prowadziła lekcji w konwencjonalny sposób i tak to jest w życiu, że jak robisz coś nowego, to znajdują się przeciwnicy. Dlatego ten okres będzie słoneczny, ale też szarawy. Inspirujemy się tu trochę filmem „Drzewo życia”. Potem jesień, to będzie okres KUL-u, gdzie studiowała. Chciałbym pokazać ją z czasów studiów, chciałbym ją pokazać jako człowieka, który pracuje na swoją przyszłość. Ostatni etap to czas choroby, rozwód z mężem, smutek.



I: Reżyser czyli kto?

N: Niedawno mieliśmy spotkanie i padło pytanie, jaka jest rola reżysera, jakie zadanie. Wiadomo, jest operator, widać obraz, widać, co nakręcił. Asia rozmawia z ludźmi i widać to na ekranie. Jest producent i dzięki temu są pieniądze, bez których film by nie powstał. A co robi reżyser? Odsuwa krzesło, żeby Aśka mogła usiąść? I tyle? Co to jest za praca? Przypominam, że to dokument a nie film fabularny. Gdyby była fabuła, to możesz napisać scenariusz i wtedy oczywiste jest, że reżyser to twórca, odpowiada za największą część zadań w filmie. A tutaj ludzie sami tworzą dialogi, są odpowiedzialni za to, jak potoczy się cała rozmowa.

Myślę, że moja/nasza rola (bo razem z Piotrem się tym zajmujemy) polega na tym, że tworzymy pewnego rodzaju *plastelinę*. Dokument tworzy się w post produkcji, to właśnie wtedy wybiera się ujęcia, tworzy się dana jakość, dany wydźwięk. Więc na obecnym etapie prac nasza rola jest jeszcze *niewidoma*, w tym sensie, że my nie wiemy co się dzieje, trochę jak Al Pacino w „Zapachu kobiety”. Ale – trzymając się tej metafory – człowiek niewidomy brak wzroku nadrabia pracą innych zmysłów, np. węchem. Obaj z Piotrem staraliśmy się tym węchem wyczuć, co byłoby dobre, co by się przydało, jaka plastelina czy glina by się przydała, żeby coś jeszcze lepszego z tego ulepić, jakimi kolorami potem przy komputerze malować ten obraz, jakimi barwami operować. Oczywiście spotkań, rozmów, wspomnień się nie zaaranżuje, można tylko zaplanować, o co zahaczyć. Na pewno nie chcę, żeby bohaterowie tego filmu były „gadającymi głowami”. Dlatego robimy scenki reżyserskie, tworzymy klocki, które potem będziemy wszyscy układać. To jest bardzo trudna rola. Muszę przewidywać, i patrzeć wstecz, i patrzeć na całość. Do tego potrzebna jest uważność, pamięć i intuicja, żeby wiedzieć co dalej, żeby całość była spójna.

I: Czy zaczynając pracę nad tym projektem, widziałeś już ostatnią scenę?

N: Wchodząc w ten projekt, wiedziałem tylko tyle, że robimy film o Beacie Nowak i że narratorem będzie Joasia Nowak. Wymyśliliśmy z Piotrem te cztery pory roku i kombinowaliśmy co dalej. A co do zakończenia to nie miałem przez bardzo długi czas pomysłu, jak to by miało wyglądać. Przyznam, że ja bardzo długo nie widziałem też większego sensu w tym filmie. Chciałem go robić, ale ze względu na ludzi, na doświadczenie. I potem sobie uświadomiłem, że to jest dla mnie tak ogromna szansa! I bardzo chciałem to zrobić jak najlepiej. Zacząłem wtedy o tym intensywnie myśleć. Kiedyś, gdy siedziałem w domu u Romana, naszego operatora i rozmawialiśmy o filmie, nagle, nie wiadomo skąd, przyszła do mnie myśl. Była to wizja zakończenia. Zobaczyłem ją tak, jak bym widział to na ekranie. To było dla mnie objawianie! Początkowo film kończył się stypą po pogrzebie Beaty, ale ja nie chciałem zostawiać widza z takim zakończeniem. Chciałbym, żeby Beata pozostała, tak jak teraz po jej śmierci, bo ona umarła, ale ja czuję, że ona nadal tu jest – a jestem ateistą. Dlatego pytam ludzi na licznych spotkaniach, czego Beata ich nauczyła, co im dała.

I: Dlaczego film?

N: Jestem na etapie tego dziecka, które już się dowiedziało, że Mikołaj nie istnieje. W gimnazjum już odkryłem, że kamera może być, jak to powiedział francuski krytyk, Alexandre Astruc „caméra stylo” czyli „kamera długopis”. Zauważyłem, że mogę coś napisać, ale nie każdy to przeczyta. Film oczywiście też nie każdy zobaczy, ale moim zdaniem film jest sztuką totalną i w nim odkryłem narzędzie do wypowiadania, wyrażania siebie. To jest narzędzie na tyle potężne, że może oddziaływać na emocje, zmysły i zafascynowałem się nim absolutnie. Ale o co chodzi z tym świętym Mikołajem? Wiedziałem już że film, ale nie widziałem nic po za tym. Nie wiedziałem, że film jest środkiem wypowiedzi. Że to tak samo jak z pismem, bo film służy do opowiadania o idei, do przedstawiania swoich poglądów, do wypowiadania się. Wyraża to i dźwiękiem, i obrazem, i treścią. I potem odkryłem, że można na tym zarabiać. I to było coś, co mnie zbiło z tropu, bo jak zacząłem poznawać ludzi z filmowej branży, zabolowało mnie, idealistę, że myślą o filmie przez pryzmat pieniędzy, sławy i dla nich jest to ważniejsze od samego filmu. Przeraziło mnie to. Po co robisz filmy, skoro chcesz tylko zarabiać. Jeśli chcesz zarabiać, to możesz być prawnikiem, lekarzem. Przecież film jest na to za piękny! DLATEGO POLECAM KAŻDEMU, SZCZEGÓLNIE W PLASTYKU, BO ARTYŚCI MAJĄ ZAWSZE DUŻO DO POWIEDZENIA – FILM JEST IDEALNYM ŚRODKIEM DO WYRAŻENIA SIEBIE. Możesz namalować obraz, ale nie każdy go zrozumie. A film jest idealnym połączeniem obrazu i tekstu. Tę myśl polecam panu Wereńskiemu i pani Kierczuk, żeby potrząsnęli młodzieżą.

I: Film to Twój pomysł na przyszłość?

N: Jeśli zdam maturę, bo przez film, w którym się tak nieodpowiedzialnie zakochałem, odstawiłem szkołę na dalszy plan, więc jeśli zdam maturę, to wyjadę z Lublina. Będę startował do Łodzi i do Katowic na filmówkę, na reżyserię. Chcę wyjechać, żeby tworzyć. Tak jak Grotowski, który wyjechał do Azji (Chiny, Japonia) chłonął kulturę Orientu i stworzył nowy teatr. Żeby tworzyć sztukę, trzeba się nauczyć rzemiosła i ja bardzo tego chcę. Chcę wypowiedzieć jakieś nowe zdanie, takie, którego jeszcze nikt nie wypowiedział. A co do filmu o którym rozmawialiśmy – jego pokazy premierowe na pewno się odbędą w Centrum Kultury i w Centrum Spotkania Kultur, a mam też nadzieję, że uda nam się pokazać naszą pracę w kinie „Bajka”. No i oczywiście w naszej szkole. ●



WIEDEŃ. JEDZIEMY? JEDZIEMY!

↑ fot. Weronika Gajek

SPRAWDZAM SOBIE POCZTĘ i widzę e-maila z Niezłej Sztuki. A tam m.in. „10 wystaw, które warto zobaczyć”. Pierwsza pozycja – Wiedeń. Przyznaję bez bicia, że nigdy nie przeczytałam całego artykułu; nie wiem nawet, jakie jeszcze miasta europejskie były na liście... Wymienione wystawy wiedeńskie, a zwłaszcza gigantyczna ekspozycja prac Petera Bruegla Starszego w Kunsthistorische Museum i Monet w Albertinie, przekonały mnie od razu. Krótki zachwyt, szybki screenshot i wia-

domość do Czarka (Stachury) „CZAREK, MUSZĘ TAM POJECHAĆ”. No i proszę bardzo. Wystarczy na głos mówić o swoich potrzebach. Oczywiście sprawa nie była aż tak prosta, jak się teraz maluje. Gdyby naszej rozmowy o Wiedniu nie usłyszała Pani Profesor Paulina Zarębska-Denysiuk, pewnie zostalibyśmy w Lublinie, a Austria pozostałaby marzeniem.

Zebraliśmy grupkę zainteresowanych osób z naszej klasy (IIIa) to jest: Magdalena Kotowska,



Fotografie ze zbiorów
Pauliny Zarębskiej-Denysiuk



Małgorzata Surtel, Weronika Gajek, Czarek, ja i Pani Zarębska. Zorganizowaliśmy transport, mieszkanie i orientacyjny plan wycieczki i w ten sposób udało nam się pojechać w ramach kółka z historii sztuki do Wiednia. Jednym z warunków wyjazdu był reportaż do Ramoty – kochana Dyrekcjo, życzę miłej lektury.

W piątek z samego rana wysiedliśmy na dworcu w stolicy Austrii. Pierwsze wrażenie? Zimno. Drugie wrażenie? Szok, że pierwsze co widzę, to kominy fabryczne z gęstym dymem, i to w mieście, nie poza. Jednak wystarczyło wsiąść do metra, żeby przenieść się do innego świata. W centrum duszno od dekoracyjnych kamienic, które będąc lekkimi, jednocześnie przytłaczały, urocze widoki, piękne budynki i pomniki, szerokie promenady z drzewami. Zauroczyło mnie też zjawisko osób czytających papierowe gazety w kawiarniach, metrze, czy po prostu na ulicy. Centrum Wiednia, jakie poznałam, krzyczy „KULTURA”. Pewnie dlatego ciężko mi pojąć, dlaczego w fast-foodach ludzie zostawiają tace ze swoimi resztkami na stolikach... Cóż, nie mnie to oceniać.

Pierwszy przystanek: sklep Kare Design, na życzenie Pani Profesor – miłośniczki tego typu rzeczy. Weszliśmy z ciekawości, a po chwili nie mogliśmy wyjść z zachwytu. Wnętrze jak galeria sztuki, pełne świetnych dekoracji, rzeźb, dywanów, obrazów etc., z których każdy projekt wymagał dużego wkładu pracy. Myślę, że oglądając te „Sztuczki” mniej lub bardziej użytkowe, mając za sobą jakieś doświadczenia z projektowaniem i w końcu tworzeniem swoich rzeczy, byliśmy w stanie jeszcze bardziej je docenić niż może osoba z ulicy, polegająca jedynie na swojej wrażliwości estetycznej. Na pewno zaczerpnęliśmy spory oddech inspiracji.

Tego samego dnia zwiedziliśmy galerię sztuki współczesnej Mumok. Było w niej sześć wystaw, ale nie omówię każdej. Pierwsza ekspozycja – Ernst Caramelle a résumé. Duża wystawa prezentująca prace austriackiego artysty od 1974 r. do teraz; różne media od rysunków przez malarstwo, wideo, fotografie po murale. Jego obrazy na pierwszy rzut oka wydają się płaską abstrakcją geometryczną, a po chwili widać w nich zabawę z przestrzenią, z antropomorficzną architekturą. Czerpał inspiracje z otoczenia: w jednej z gablot było zdjęcie krzesła z naniesionymi liniami i podpisami, a na przeciwległej ścianie obraz wykorzystujący kształt ażuru z oparcia tego krzesła jako zupełnie abstrakcyjną formę. Trzeba też przyznać, że pan Caramelle ma poczucie humoru. Np. w jednym z rysunków żartuje z planowania miasta idealnego, tego opierającego się na okręgach rysując stworka, kreślącego jego plan. Kolorystyka prac była idealnie wyważona, Prof. Zarębska nazwała ją „renesansową”. Tę wystawę chyba najlepiej zapamiętałam.

Piętro wyżej Malarstwo Neoawangardowe z kolekcji Mumoka. Same klasyki od lat 50. do 70. XX w.: Josef Albers, Helen Frankenthaler, Roland Goeschl, Ellsworth

Kelly, Richard Kriesche, Karel Malich, Agnes Martin, Kenneth Noland, Ad Reinhardt, Helga Phillip i Zdeněk Sýkora. Nie brakowało też Polaków. Zobaczyliśmy obrazy numeryczne Opałki, kompozycje geometryczne Adama Jankowskiego, op-art Ryszarda Winiarskiego, rzeźby Henryka Stażewskiego. Artyści tego czasu, a zwłaszcza malarze dużo eksperymentowali i zrywali z tradycyjnym malarstwem, tworzyli sztukę minimalistyczną i konceptualną. Przy okazji „poznałam” akcjonistów wiedeńskich, o których nie miałam pojęcia i na żywo zobaczyłam ten konkretny i jedyny w swoim rodzaju Blue Yvesa Kleina. Oczywiście prezentowany za szkłem, żeby utrudnić zwiedzającym dokumentację.

Po drodze na wystawę „55 Dates” przeszliśmy przez niewielką ekspozycję Ute Müller, która wygrała konkurs Kapsch Contemporary Art Prize 2018. Generalnie zajmuje się tworzeniem przestrzeni, gdzie wywołuje relacje między obrazami, ścianami o organicznym kształcie, które nie dotykają ziemi i kamieniami. Nie zostałam tam na dłużej, ale przyznaję, że odczułam tam jakąś... harmonię. Choć nie wiem czy słusznie, bo w broszurce wystawy była mowa o dynamice. Oprócz tej salki przebiegliśmy (przynajmniej ja z Czarkiem, bo Pani Zarębska dokładnie przestudiowała każdy podpis, każde zdjęcie, każdą datę, a my z dziewczynami się rozdzieliliśmy) szybko przez wystawę poświęconą polityce Austrii. Było kilka super fotografii, ale nie mieliśmy już siły na szczegółowe oględziny – wołała nas ostatnia wystawa. „55 Dates” prezentuje 55 chyba najbardziej znanych dzieł, nie mniej znanych artystów w zbiorach Mumoka. Wiadomo, warto zobaczyć Warhola, Picassa, Paula Klee, Frantiska Kupkę... Ich dzieła były zestawione z przedstawicielami sztuki nowszej, że tak powiem. Na przykład tuż obok nokturnu Kupki gigantyczne płótno artystki Ashley Hans Scheril „Tina in Kupka-Dress and me with the brush” z 2017r. Była też instalacja Yoko Ono „White chess set” i hiperrealistyczna rzeźba kobiety w łóżku autorstwa Johna De Andreasa. Baliśmy się, że ta naga kobieta zaraz otworzy oczy i będzie zła za to, że na nią patrzymy. Wykonanie robiło wrażenie, ale nie nazwałabym autora rzeźbiarzem.

Tego dnia przeszliśmy „tylko” Mumok, ale zobaczyliśmy tak dużo, że oczy i nogi odmawiały posłuszeństwa. Wieczorem upichciliśmy obiadokolację: spaghetti bolo-gnese (z proszku) wzbogacone o prawdziwe pomidory i cebulę (z prawdziwego austriackiego supermarketu Bila) i oddaliśmy się uzasadnionemu lenistwu. Co ciekawe największą sensację w rozmowach wywołało wspomnienie ochroniarza z galerii, opisywanego przez 4 na 5 kobiet słowami „Ale przystojny był ten czarny ochroniarz z pierwszego piętra”, którym to słowom wtórowało melodyjne „Nooo”. (*Koniec części pierwszej*)

Anna Myszkowiak 3a





TO SAMO NIE TAK SAMO...

...czyli wyjazd do Wiednia oczami prof. Zarębskiej

*Fotografie ze zbiorów
Pauliny Zarębskiej-Denyśiuk*

PRAWIE NIEMOŻLIWE, A jednak się udało. Wyjazd po południu z Lublina, wieczór w Krakowie w Galerii Krakowskiej i cała noc jazdy autobusem. Rano – Wiedeń. To nie była tylko wycieczka, mająca na celu zwiedzenie wystaw, to była praktyczna nauka poruszania się po innych miastach. Pierwsza rzecz – plan miasta dla każdego. Linie metra, nazwy ulic – wszystko co trzeba wiedzieć, aby swobodnie się poruszać po obcym mieście. Darmowe plany są najczęściej w punktach informacji, na stacjach. Potem sprawdzenie gdzie się znajdujemy i dopytanie o stację metra. Podstawą komunikacji w tym przypadku był język angielski. Każda linia metra miała swój kolor, naszym okazał się pomarańczowy. Godzina ósma rano, ładny dzień. Muzea czynne od 9-10.00 stąd poranna kawa w McDonald's koło nich.

Pierwsze muzeum Mumok, gdzie zwiedzanie zaczęliśmy od sztuki współczesnej. Zostały tam zaprezentowane różne kierunki rozwoju malarstwa lat 50.–70. w tym prace Henryka Stażewskiego, Ryszarda Winiarskiego i Romana Opałki, obok dzieł Ada Reinhardta, Dana Flavina, Gerharda Richtera,

Josefa Albersa, Ellsworth'a Kelly'ego – wszystko z kolekcji Mumok. Na samym dole kolekcja sztuki współczesnej muzeum w kolejnej odsłonie – wybranych 55 dzieł. Młodzież mogła poznać sposób funkcjonowania takich muzeów. Posiadają one kolekcję, ale dzieła są pokazywane podczas wymiennych ekspozycji, przygotowywanych przez różnych kuratorów, na tym polega między innymi praca z dziełami w takich instytucjach. Dodatkowo stale są prezentowane wystawy czasowe, obecnie były cztery. Za każdym razem zobaczymy nowy układ, nowe dzieła, inne wystawy. To sprawia, że takie muzea przyciągają, nieustannie zapraszają i kuszą nowością. Po pierwszym dniu dotarliśmy do wynajętego mieszkania, które okazało się duże, w starej części Wiednia. Organizacja życia domowego także nie sprawiła problemu. Zakupy, gotowanie, zmywanie.

Następny dzień – Hofburg – rezydencja cesarzy i Museum Albertina. Tutaj sztuka współczesna i przełom XIX/XX w. Dla uczniów niesamowita była możliwość zobaczenia prac Albrechta Dürera oraz fakt, że dwa tygodnie wcześniej oglądali

oni, niektóre z nich podczas lekcji, a teraz mogli zobaczyć je w muzeum. Ciekawa była wystawa czasowa fotografii Helen Levitt. Zdjęcia były robione w Nowym Jorku, ale także np. w miastach Meksyku, na przestrzeni wielu lat. Artystka często fotografowała z ukrycia i dokumentowała życie ulicy w biedniejszych dzielnicach. Fotografia bez idealizacji, doskonale oddawała klimat miast od lat 40. do 80. Najczęściej pojawiały się na nich kobiety i dzieci, zresztą fotografka zaczęła od zdjęć dzieci, rysujących kredą na chodnikach. Zbiór można potraktować jako doskonały dokument socjologiczny i zapis zmian zachodzących na przestrzeni lat w obszarze społeczno-obyczajowym, głównie amerykańskich miast.

Ostatni dzień zaczęliśmy od obejrzenia Budynku Secesji Josepha Marii Olbricha, a następnie kościoła św. Karola Boromeusza, gdzie mogliśmy obejrzeć świetnie wkomponowaną w barokowe wnętrze pracę współczesnego artysty Tomasza Saraceno. Projektant, pochodzący z Argentyny, stworzył rzeźbę-instalację z wykorzystaniem kulistych form, podobnych do jego rzeźb aerosolarnych. Unoszące się w przestrzeni formy, odbijające na lśniącej powierzchni otoczenie, nawiązywały zarówno do projektu miasta w chmurach, który Saraceno opracowywał, szukając budynków znajdujących się ponad ziemią, lżejszych od powietrza, z drugiej strony do projektu „Latających placów”. Latające rzeźby to formy, które miały się prze-



mieszczając, swobodnie pokonując geopolityczne ograniczenia. Tutaj formy zostały „zamknięte” barokową architekturą, stały się zwierciadłami, w których przeszłość przeglądała się we współczesności. To częste zjawisko w krajach Europy np. niemieckojęzycznej, kiedy to we wnętrzach kościelnych wykorzystuje się prace współczesnych artystów, nawet w formie ekspozycji czasowej. Następnie zwiedzaliśmy Museum Leopolda czyli głównie ekspozycje dzieł Gustava Klimta i Egon Schiele. W prezentacji zastosowano strategię częstą w muzeach, gdzie dzieła dawniejsze zestawiono ze sztuką współczesną. Na przykład w sali poświęconej macierzyństwu pojawiły się prace Louise Bourgeois z lat 90. i po roku 2000. Artystka, uczennica

między innymi Fernanda Légera, będąca pod wpływem rosyjskich konstruktywistów, od 1938 r. mieszkała w Stanach Zjednoczonych. W 1993 r. była reprezentantką kraju na Biennale w Wenecji. Zmarła w 2010 r. Na wystawie zostały pokazane jej prace o naiwnej stylistyce, gdzie ciało kobiece zostało sprowadzone do pejzażu, a kobieta z dzieckiem przypominała naiwny rysunek kilkulatka. Dzieła odnosiły się do jej bliskiej relacji z matką. Na koniec Kunsthistorisches Museum. Sztuka starożytna, malarstwo nowożytne i rzemiosło artystyczne oraz rzeźba. Dział rzemiosła artystycznego to zbiór dzieł gromadzonych przez kolejnych władców dla Kunstkammer, czyli gabinetów kuriozów. Kryształowe naczynia, przedmioty ze złota, wo-



sku, alabastru, chińska porcelana (XVI i XVII w.), indyjska szkatuła z XVI w. dekorowana macią perłową, naczynia do picia w kształcie ludzi czy niedźwiedzia. Prawdziwe cacka, popis kunsztu dawnych złotników i ceramików świadczyły o splendorze oraz zamożności dworów, a także o kontaktach z różnymi ośrodkami twórczymi. Do tego dowód zaawansowanej myśli technicznej, czyli skomplikowane zegary i automaty: grające statki, wozy zaprzężone w konie, samo poruszające się pojazdy. I oczywiście słynna solniczka Benvenuto Celliniego. Wśród rzeźbiarzy: Andrea del Verrocchio, Antonio Rossetino, Andrea i Luca della Robbia, Desiderio da Settignano, małe modele anatomiczne, gra z XIV w, lalka – znowu grający automat. I je-

den z najpiękniejszych portretów kobiecych autorstwa Francesco Laurana, domniemany wizerunek Laury. Po intensywnym zwiedzaniu powrót do Lublina.

Oprócz licznych wystaw, dzieł zarówno sztuki dawnej jak i współczesnej ważna była podczas wyprawy koordynacja, umiejętność poruszania się po obcym mieście, posługiwanie się językiem angielskim (zakupy w muzealnych sklepikach, w kawiarniach, restauracjach, sklepie spożywczym). Warto przygotowywać młodzież do takiej formy podróżowania i zwiedzania miast. Miejmy nadzieję, że podróże będą kontynuowane.

Paulina Zarębska-Denysiuk



NASI SĄ WSZĘDZIE!

KILKA TYGODNI TEMU naszą szkołę odwiedziła absolwentka, która na moje pytania o to, co porabia, odpowiedziała niezwykle barwną opowieścią o swoim pobycie w Afryce.

Patrycja Dyda zgodziła się podzielić swoimi wspomnieniami także z czytelnikami Ramoty.

Oto one:

Mam na imię Patrycja i jestem absolwentką Liceum Plastycznego w Lublinie. Obecnie studiuję Architekturę Wnętrz na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

W ubiegłym roku odbyłam dwumiesięczny wolontariat misyjny w Malawi w miasteczku Nkhoskatota (od sierpnia do października 2018r.). Na misję wyjechałam z Matyldą z Międzynarodowego Wolontariatu Don Bosco przy Salezjańskim Ośrodku Misyjnym w Warszawie.

Naszym priorytetowym zadaniem był remont szkoły, którą prowadzili tam księża Salezjanie – Don Bosco High School. Wyremontowałyśmy w sumie 4 klasy. Trzeba było zacząć od wyczyszczenia ścian, dachu, okien i drzwi, później to wszystko poszpacłować i na samym końcu pomalować. Popołudniami spędzałyśmy czas

w oratorium, organizując gry i zabawy dla dzieci i młodzieży w różnym wieku.

To były dwa najpiękniejsze miesiące w moim w życiu i mam nadzieję, że będę miała okazję ten czas w niedalekiej przyszłości powtórzyć.

Patrycja Dyda



Ramota nr 46

marzec 2019





29

Ramota nr 46



marzec 2019



fotografie ze zbiorów Patrycji Dydy

WIER

30

Tak bardzo się skupiamy
co JA czuję i robię
że zapominamy
co dać drugiej osobie

Jesteśmy warci tyle
Ile możemy pomóc

A ponoć wierzysz sobą
Nie słowem lecz czynami
Dlaczego talent mamy
Uczucia mierzyć łzami

Aleksandra Marczuk 2b

. EIROTSIH

Historie nocne
Mówią
O dawnym
Przeminęło
Piwo piją I płaczą
Dorośli faceci
Jak dzieci
Tęsknią
Za życiem
Górami
Muzyką
Ojca widzę
Inaczej
Piekne to jest

I mówią
Że **groby** się kopało
I fajnie było

Kryńska 3a

.06

Znasz to
niesamowicie

Boisz się

Chcesz się pozbyć planów i emocji

Chcesz skończyć

Zamknąć

Oczy

Usta

Uszy

Dłonie

Umierasz

Na brak otoczenia

Sypiesz kwiaty

Na drogę

Ku przyszłości

Kryńska 3a

.31

Przyszłam powiedzieć

Że **tęsknię**

I boję się powiedzieć to wprost

Osobiście

Napisać Ci

Chore to jest

Kryńska 3a

Ramota nr 46

marzec 2019

OSZE

PRZYSZŁOŚĆ

Każdego dnia
Pytają mnie o plany
Na przyszłość

Boję się

Mysleć o niej

Co będzie dalej

Jeszcze matura.

Kryńska 3a

Zima
Okruchy śniegu padają na drzewa,
Zasnuły bielą pola i drogi,
Smagane wiatrem lecą od nieba,
Dumnie się puszą i ślą przestrogi.

Piękna i sroga w objęciu lodowym,
Trzyma dziś miasta, wioski i lasy,
Gasi śmiech mroźnym podmuchem swoim,
Stary ślad znika pod śniegowe zaspy.

Katarzyna Pruszkowska 1b

DOŚĆ

Nic mi się nie chce
Albo
Chce
Nie mogę
Płakać nie mogę

Jestem w złym miejscu

To nie dla mnie

Jutro poniedziałek

Chyba wyjadę

O złym czasie

Kryńska 3a

Kwiaty nocnych zmartwień
Rozkwitły w mojej głowie
Kwiaty nocnych zmartwień
Zarosły mi mózgowie
Pnącza owinęły rdzeń
Roznoszą woń przeszłości
Tęsknota i wspomnienie
Karmię kruche kości
Nie odczuwa zapomnienia
Wyrwałem marne korzenie
Wyrzuciłem za siebie
Mam swoje marzenia
Płynąc po niebie...

Miłosz Mazurek 2a

ramota

„Ramota”

Gazeta Zespołu
Szkół Plastycznych
im. C. K. Norwida
w Lublinie

Redaktorzy

Anna Myszkowiak
Maja Myszkowiak
Izabela Kryńska

Opieka artystyczna

Ewa Wrona (teksty)
Robert Wojniusz (skład)

Projekt i skład

Tomasz Wesółowski
Gabriel Talarek

Redakcja zastrzega
sobie prawo do
redagowania

przekazanych tekstów.



fot. Helen Levitt

*Kobiety nigdy nie były tanie.
Wszak rujnowali się na swe panie
Petrarka i Horacy...
Nawet się Juliusz szarpał niemało
Więc może mnie by też wypadało?
Lecz cóż, suknia z koronek?
Jakiś zegarek albo pierścionek
Ze złota szczerozłotego?
Lecz rozum mówi:
– Co się wychylasz?
Złoto to daje byle badylarz!
Lepiej wymyślmy coś cenniejszego,
Coś, co zdobędzie serce kobity
I Himalajów przewyższy szczyty,
Coś, co mężczyzna tylko dać może,
Coś, co o wielkiej świadczy pokorze.
Precz perły, złoto, kwiatów naręcze!
Ja Cię najmiłsza dzisiaj wyręcę...*

...i wyszoruję ronderek.

„Grupa bez Jacka”